

ALEKSANDRA
RUMIN

**GŁOSUJ
NA POLAKA!**



Copyright © 2022 ALEKSANDRA RUMIN
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Wykonanie ilustracji okładkowej: PIOTR SOKOŁOWSKI

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-66328-99-0



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

ALEKSANDRA
RUMIN

**GŁOSUJ
NA POLAKA!**



WYDAWNICTWO
INITIUM

KRAKÓW, 2022

„Politykę uważa się za drugi najstarszy zawód świata. Doszedłem do wniosku, że jest bardzo podobny do pierwszego”.

Ronald Reagan

„Polityka to nie zabawa. To bardzo dochodowy interes”.

Winston Churchill

„Pierwszym błędem, jaki popełnia się w polityce, to zajęcie się nią”.

Benjamin Franklin

„A daj pan spokój z tymi politykami! To, panie, wszystko złodzieje są”.

Pan Andrzej spod budki z piwem

Wszystkie wydarzenia opisane w książce są wytworem mojej wyobraźni. No, może z wyjątkiem dwóch, góra trzech, w porywach czterech, ale kto by tam wniknął w szczegóły? Za to wszelkie, a już zwłaszcza to uderzające, wyglądające na zupełnie nieprzypadkowe i całkowicie zamierzone, podobieństwo do prawdziwych postaci ze świata polityki czy kultury jest kompletnie przypadkowe i absolutnie niezamierzone. I niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli kła... (*Trzask!*)

Aleksandra Rumin

Prolog

– No dalej, przepióreczko, pokaż liskowi, co masz pod bluzeczką!

– Heniu, daj spokój! Jeszcze ktoś wejdzie i nas zobaczy!

– A kto ma wejść, jaskółeczko, skoro jest piątek i wszyscy już dawno poszli do domu. W tym wielkim urzędzie jesteśmy zupełnie sami!

– Zupełnie sami, Heniutku? W takim strasznym gmaszysku? Ja się boję!

– Nie musisz się bać, sarenko, twój lisek cię obroni! Ale najpierw zdejmij spódniczkę...

– Och! A co to było? Słyszaleś?

– Co niby miałem słyszeć?

– Coś stuknęło! Może ktoś tu jednak jest! I znowu cię nagrają!

– To nic takiego, pewnie przeciąg i okno się gdzieś na dole otworzyło. Wiesz przecież, że tu się wszystko wali, bo ostatni remont to chyba w dziewięćdziesiątym drugim przeprowadzono... I trzeci raz się nagrać nie pozwolę! Prędeż zabiję drania, który spróbuje! Poczekaj, tylko to rozepnę i coś ci pokażę. Cholerne zapięcia... No, jest. Popatrz tylko na to!

– Ach, jaki ogromny, Heniutku!

– Imponujący, co?

– Zaparło mi dech w piersiach! Nigdy wcześniej takiego nie widziałam!

– Bo to atrybut prawdziwego mężczyzny, kukuleczko. Nie dla żadnych mięczaków, a wyłącznie dla samców alfa. Takich jak twój lisek!

– Robi wrażenie. Po prostu nie można oderwać od niego wzroku. Mogę dotknąć?

– A nie będziesz się bała, kaczuszko?

– Troszkę, Heniu... Oj, jaki ciężki!

– Bo to jest najprawdziwszy pistolet. Z mojej wspaniałej kolekcji broni. Jak tylko ktoś mi stanie na drodze, to rach-ciach, i po nim! Zawsze noszę go ze sobą. Dla bezpieczeństwa.

– To tobie coś grozi?

– Nie bądź naiwna, żubrzczyzko! Mężczyzna na poważnym stanowisku wszędzie ma wrogów, bo wszyscy mu zazdroszczą. Władzy, wpływów, pieniędzy, możliwości...

– I naprawdę strzeliłbyś do człowieka?

– Musisz wiedzieć, sóweczko, że ja jestem myśliwym z dziada pradziada. Urodzonym zabójcą! Dostałem swoją pierwszą strzelbę, jak tylko byłem na tyle duży, by utrzymać ją w rękach. Dzika zabiłem, mając siedem lat, a jelenia zaledwie rok później...

– No tak, Heniutku, ale zwierzę to zwierzę, a...

– Od razu widać, że nigdy nie polowałaś, rysiczko.

A myślisz, że kto postrzelił Jadziaka w tyłek?

– Ty?!

– Ano ja.

– O mało go nie zabiłeś! Przecież to twój zastępca!

– I właśnie dlatego.

– Nie rozumiem.

– Ty nie masz rozumieć, ty masz wyglądać.

– No wiesz...

– Nie bocz się, wiewióreczko. Żartuję przecież. Nie mam stuprocentowej pewności, ale jak najbardziej uzasadnione podejrzenia, że ten bydlak wynosi z urzędu dokumenty i potem podsyła mediom. To nagranie z kwietnia to pewnie też jego sprawka, bo niby kto inny mógł się zakraść do mojej prywatnej toalety! Żeby mi brat cioteczny taką świnię podłożył... Wiadomo, nikt cię tak nie załatwi jak własna rodzina... Tylko nikomu nie mów, bo śledztwo dawno umorzyl z powodu niewykrycia sprawcy! Że niby jakiś przypadkowy strzał przypadkowego myśliwego, co to mu się dzik z człowiekiem pomylił...

– Nie powiem, lisku! Ale to naprawdę ty?!

– Ciiii... Jak mówię, to mówię. A teraz podciągaj rajstopy i pakuj swoje szpargały, bo jakoś mi przeszła ochota na figle w urzędzie. Zabieram cię do mojej chatki myśliwskiej! Takich luksusów jeszcze nie widziałeś! Jacuzzi, piwniczka na wino i nawet czerwony pokoiik z różnymi pejczykami. A to wszystko za pieniądze naiwnych podatników! Życ nie umierać!

– To ty masz chatkę? Nic nie wspominałeś...

– Bo to sekret, kaczuszeko. Nikt o niej nie wie i nikt nie może się dowiedzieć, bo zaraz pojawiłyby się pytania, skąd miałem pieniądze i takie tam.

– I twoja żona też o niej nie wie?

– Zośka? Ta tępą dzida? Oczywiście, że o niczym nie ma pojęcia. Ona ma pracować, gotować i się dzieciarnią zajmować, a nie interesować się moimi prywatnymi sprawami. Od piętnastu lat mi nie odpysknęła, bo swoje miejsce zna. Babę

to trzeba sobie wychować, bo inaczej się taka rozbestwia...
No, jesteś gotowa? Dobrze, to podejdź bliżej.

– A po co ci ta szarfa, Heniutku?

– Dali mi ją na jakimś durnym festynie, ale wreszcie się przyda. Zasłonię ci oczka!

– Nie! Nie chcę!

– No chodźże, łasiczko...

– Ja się boję!

– Daj spokój, to tylko taka zabawa. Nie możesz zobaczyć, gdzie cię wiozę, bo to sekret!

– No dobrze, ale... O, twój telefon wibruje...

– Cholera! Mówilem temu tumanowi, żeby mi nie zawracał głowy po godzinach pracy. Co za cymbał! Halo!... Przecież zabronilem... Jaka sprawa?... Kto jedzie?... Kto?... Ale kiedy będzie?... Jadziak, to pewne?!... Bo jak mnie robicie w... Jezus Maria!... Tak, zawiadom wszystkich. Za pół godziny w moim gabinecie. Obecność obowiązkowa albo polecą głowy!

– Lisku...

– Sorry, myszko, ale musimy naszą wycieczkę odłożyć na później.

– Ale, Heniutku...

– Teraz to nie żaden Heniutek, a Henryk Maksymilian Mamrot, z łaski Bożej i woli Narodu wójt gminy Grzeszyn! Więc spadaj, mała, i to tylnym wyjściem, żeby cię przypadkiem nikt nie zobaczył. Ojczyzna wzywa!!!!

1.

Witajcie w gminie Grzeszyn!

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami leży gmina Grzeszyn z siedzibą w niewielkim, ale urokliwym miasteczku o tej samej nazwie. W jej skład wchodzi również trzy pobliskie miejscowości: malownicza Wielka Lipa, nieco mniej atrakcyjne turystycznie Zgniłki oraz Wandalin ze słynnym na całą Europę, a może i na resztę świata, zameczkiem rodu Chrzęstowskich herbu Ślepowron.

Na czele gminy od lat stoi Henryk Maksymilian Mamrot, właściwy człowiek na właściwym miejscu. Ze swoim nikczemnym wzrostem, wyraźną nadwagą, ogromnymi zakolami, kartoflowatym nosem i małymi, rozbieganymi oczkami nie miałby najmniejszej szansy na wygraną w corocznym konkursie „Mister of Grzeszyn”, ale cieszy się ogromnym zaufaniem mieszkańców.

Dlaczego?

Bo ten, kto ma jakiegokolwiek wątpliwości co do uczciwości i oddania wójta, znika bez śladu. Na starcie ostatniej kampanii wyborczej Mamrot co prawda miał czterech kontrkandydatów, ale wszyscy wycofali się z powodów osobistych i/lub zdrowotnych, jeżeli za powody osobiste uznać pogróżki wysyłane członkom bliższej i dalszej rodziny, a za zdrowotne połamane nogi i/lub ręce.

Na pierwszy rzut oka Grzeszyn nie wyróżnia się niczym specjalnym na tle tysięcy podobnych jednostek samorządu

terytorialnego, ale nie dajcie się zwieść – jest to miejsce absolutnie wyjątkowe.

Nie za sprawą malowniczych potoków, kwiecistych łąk, romantycznego zamku ze strzelistymi wieżyczkami czy bliskiego sąsiedztwa majestatycznej puszczy, a dzięki swoim napływowym mieszkańcom.

Weźmy na przykład takiego księdza Marka, proboszcza grzeszyńskiej parafii.

To prawdziwy filar lokalnej społeczności, zawsze gotowy do udzielenia bezinteresownej pomocy potrzebującym i siłą napędowa wszystkich akcji charytatywnych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Został tutaj zesłany pod fałszywym nazwiskiem, ale to nie to, o czym myślicie. Trudno się domyślić, napotkawszy szczere spojrzenie księdza Marka, ale ten był kiedyś biskupem i dochrapawszy się okazałej rezydencji z parkiem, postanowił spełnić swoje największe marzenie. Zaczął sprowadzać egzotyczne zwierzęta i urządzać prywatny ogród zoologiczny. Gdy pod rezydencję zajechały antylopy, wierni nic nie powiedzieli. Potem przyszła pora na tygrysy oraz zebry i wszyscy nabrali wody w usta, ale kiedy biskup kupił sobie słonia i żyrafę, zaczęły napływać skargi.

Bizancjum musi się skończyć, grzmiała kuria i nakazała zlikwidować rozrastające się w zastraszającym tempie przyrezydencjalne zoo.

Hierarcha wpadł w szal.

Podpalił biskupi dworek, by zniszczyć dowody swoich przekrętów, dzięki którym stać go było między innymi na stado antylop oraz trzy rzadkie białe lwy. Oliwy do ognia dołał fakt, że później próbował oddalić się z miejsca prze-

stępstwa na grzbiecie zebry. Kościół nie mógł sobie pozwolić na podobny skandal, więc sprawę zatuszowano, ale niezrównoważonego biskupa trzeba było się pozbyć. Szybko i bez rozgłosu.

I tak narodził się ksiądz Marek, który w Grzeszynie pojednał się z Bogiem i znalazł swoje miejsce na ziemi.

Ale to nie jedyny taki przypadek, bowiem Grzeszyn od lat jest miejscem zsyłki wszelkiej maści skompromitowanych polityków, których należało ukryć przed wszytkowidzącym okiem opinii publicznej, powiązanych z władzą przestępców, mafijnych bossów, którym jeden czy drugi minister wisi przysługę... i wymieniać tak można bez końca.

Na terenie gminy ukrywa się też świadek koronny z procesu sławetnego Biczownika, ale o tym sza! Nikt się nie może dowiedzieć, że to Zenon Kapuściński zamieszkały przy ulicy Kolejowej cztery w Zgniłkach, bo wtedy jego życie znalazłoby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Tutaj prawie nikt nie jest tym, za kogo się podaje.

No, może z wyjątkiem dziedzica Chrząstowskiego herbu Ślepowron. Ten śmieszny pan w tweedowej marynarce i małym kapelusiku zawzięcie przemierza teren przyległy do swojej posiadłości. Wzdłuż i wszerz. Wszerz i wzdłuż. Wczesnym rankiem czy późnym wieczorem, zawsze jest na nogach. Uderza kijem w krzaki, zagląda pod każdy kamień, czasem rozkopie kawałek ziemi, raz po raz mamrocząc do siebie: „To musi gdzieś tu być!”.

Czego tak zawzięcie szuka?

Pytanie to zadaje sobie między innymi redaktor naczelny „Głosu Grzeszyna”, były dziennikarz śledczy z Po-

znania, który na prowincji ukrywa się przed płatnymi zabójcami wynajętymi przez kolumbijski kartel narkotykowy. Ciekawe, czy żałuje tego artykułu o kokainie w skrzynkach z bananami? Chyba odnalazł się w Grzeszynie, a widoki na przyszłość ma niegorsze.

Nie tylko on!

Spójrzcie tylko na nową właścicielkę hotelu Sasanka.

Właśnie opala się w za małym o trzy rozmiary bikini z kolekcji Miami Heat. Metr dziewięćdziesiąt dwa czystej perfekcji i nogi długie jak stąd do Żyrardowa.

A ten jej kucharz?

Przed przyjazdem do Wielkiej Lipy nie trzymał w ręku garnka czy patelni, a zarabia siedemnaście tysięcy miesięcznie! Ale na razie zostawmy tę dwójkę w spokoju.

Do nich jeszcze wrócimy.

Teraz przenieśmy się na grzeszyński rynek, gdzie trwają przygotowania do wizyty Bardzo Ważnego Człowieka. Wszyscy uwijają się jak w ukropie, bo stawka jest wysoka. Chodzi o prestiż, a być może i przyszłość całej gminy, dlatego wójt Mamrot pilnuje każdego szczegółu.

Trawa jest równo przycięta.

Śmieci już nie wylewają się z okolicznych kubłów.

Gołębie nastrojowo gruchają.

I tylko jeden element nie pasuje do tej układanki.

Na rynkowej ławce siedzi rozczochrany pijak w różowych spodniach od piżamy i w jednym bucie...

– Kogo nazywasz pijakiem, paniusiu? – pyta wyglądający na miejscowego amatora procentów jegomość i wyraża pięścią w pustą przestrzeń nad sobą. – A pewnie, że wygra-

żam, bo kto to widział, żeby tak porządnego obywatela wyzywać!

Yyyyy...

– O, języka w gębie się zapomniało, co? – dorzucą triumfalnie i uśmiecha się szeroko, prezentując poważne braki w uzębieniu. – No teraz to przesadziłaś na całego! Ty wiesz, ile w tym mieście kosztuje dentysta? Czy ja wyglądam na krezusa? Pytam się, wyglądam czy nie?

To pan mnie słyszy?

– A jak mam nie słyszeć, jak się wydzierasz tak, że uszy bolą! Trzeba zważać, co się mówi, bo można zranić czyjeś uczucia, tak? Na przykład moje! Człowiek sobie siadnie z rana piwka się napić i od razu pijak. Podatki płacę i będę pił, gdzie mi się podoba. Jasne?

Najmocniej przepraszam.

To może skasuję cały ten fragment i zacznę od początku?

Porządny obywatel, nie żaden pijak, chwilę się zastanawia. W tym czasie podchodzi do niego dwóch mężczyzn w strojach ratowników medycznych.

– Zobacz, Adam, Szalony Witek znowu najadł się szaleju – śmieje się pierwszy. – Gada do siebie i wygraża pięścią.

– Dobrze, że nas wezwali. Musimy go stąd zabrać, zanim podjedzie kolumna, bo nam obciachu narobi – mówi drugi i łapie Szalonego Witka pod łokieć, podrywając go z ławeczki. – Wituś, teraz pójdziesz z nami. Mamy dla ciebie ładny pokoik bez klamek.

– Nie jestem szalony! – wrzeszczy Szalony Witek. – Powiedz im! – krzyczy w pustą przestrzeń, ale w końcu wiotczeje, jakby stracił nadzieję na ratunek, i daje się wsadzić do ambulansu.

Odjeżdżająca karetka mija na skrzyżowaniu luksusowe auto z przyciemnianymi szybami. Za nim jedzie kolejne... i kolejne... i kolejne...

– Ale to człowiek musiałby się nakraść, żeby mu starczyło chociaż na jedno takie cacko – mówi kierowca ambulansu i wzdycha, przypominając sobie, ile pieniędzy wpłynęło w zeszłym miesiącu na jego konto.

2

Czerstwym chlebem i solą

Pod Gminny Ośrodek Kultury w Grzeszynie zajechała limuzyna.

Wójt Henryk Mamrot natychmiast dał znak orkiestrze i poprawił biało-czerwone kokardki, które zdobiły długie warkoczyki siedmioletniej Luizy – jego młodszej córki.

– Tylko pamiętaj, stokrotko, jak pan premier wyjdzie z samochodu, od razu do niego podchodzisz i wręczasz kwiaty...

– Tato, ale ja nie chcę... – Dziewczynka zrobiła nadąsaną minę. – Miałam iść z mamą na zakupy...

– Na zakupy to sobie możecie iść każdego innego dnia, a premier przyjeżdża do nas po raz pierwszy! – wykrzyknął, żeby zebrani na rynku mieszkańcy też go usłyszeli. – I miejmy nadzieję, że ostatni... – wymamrotał pod nosem.

– Mam uczulenie na te żółte z pomarańczowymi cętkami, i latają nad nimi pszczoły! Zaraz dostanę wstrząsu anhi... antila... anfa...

– Wstrząsu dostaniesz sobie później! – stwierdził kategorycznie wójt i spiorunował córkę wzrokiem. – A teraz ładnie się uśmiechnij i pomóż ojcu jakoś przeżyć ten dzień!

Obok niego stała też starsza pociecha, chociaż żadnej pociechy od lat z niej nie miał. Marzył o synu, którego mógłby zabierać na polowania, a pewnego dnia przekazać mu swoją kolekcję broni, a dostał córkę weganekę – zacieklą obrończynię praw zwierząt.

Dwunastoletnia Emilia trzymała w ręku tacę z chlebem i solą. Wypiek nie był pierwszej świeżości, znaleźli go przed godziną w magazynie i musiał tam przeleżeć co najmniej kilka tygodni, ale prezentował się nieźle. Widocznie został po jednej z licznych gminnych uroczystości i komuś było szkoda go wyrzucić.

Całe szczęście – inaczej powitalby oficjela zwykłym żytnim, bo tylko taki miał w domu, a to by mogło zostać źle odebrane. A tak na tacce udekorowanej polnymi kwiatami znalazł się piękny bochen chleba ozdobiony warkoczem z ciasta i małym orzelkiem.

Żeby tylko premier nie chciał go skosztować...

Tłum wiwatujących mieszkańców ani nie prezentował się zbyt imponująco, ani za bardzo nie chciał wiwatować. Z piątku na sobotę nie udało się zorganizować liczniejszej grupy, bo część lokalsów już rozpoczęła weekendowy wypoczynek i nie planowała wytrzeźwieć aż do niedzieli.

Jak na złość członkinie Koła Gospodyń Wiejskich „Grzeszynianki” pojechały na festyn w stolicy województwa, by za horrendalne pieniądze wciskać naiwnym miastowym swoje popisowe wypieki.

By ratować sytuację, w jedyne stroje ludowe, jakie udało się znaleźć w piwnicy urzędu, wbiły się żona Mamrota i jego sekretarka Mariolka. Musiały wystarczyć, chociaż wójt był przekonany, że premier będzie kręcił nosem – uwielbiał się pokazywać na tle kobiet w białych haftowanych bluzkach i spódnicach w kwiaty.

Dobrze, że udało się zatrzymać autobus, którym szkolna orkiestra jechała na międzynarodowy konkurs w czeskiej

Pradze. Dzieciaki protestowały, ale opiekujący się nimi nauczyciel muzyki musiał uznać autorytet władzy, bo od niej zależała jego nauczycielska przyszłość.

Wszystko na ostatnią chwilę!

Nie było nawet czasu, żeby wyeliminować element wywrotowy.

Tak, na terenie gminy Grzeszyn taki element występował, lubił robić transparenty i głośno krzyczał.

Przezorny Mamrot od razu zadzwonił do nowego komendanta, ale niczego nie wskórał. To nie te czasy, co za Zdziśka Maciejewskiego, gdzie jeden telefon wystarczył, by wszystkie problemy same się rozwiązały. Komendant Jędrzejewski wójta wyśmiał, a potem oświadczył, że wyjeżdża na ryby, a tak w ogóle to obywatel ma prawo wyrażać swoje zdanie.

Do czego to doszło!

Od razu widać, że Jędrzejewski się za długo w Grzeszynie nie utrzyma, bo taki wymuskany warszawiak nigdy nie zrozumie specyfiki regionu.

Nie ma co ukrywać, wizyta prezesa Rady Ministrów była Mamrotowi wybitnie nie na rękę.

Po co przyjeżdżał?

Jadziak uruchomił swoje kontakty w kancelarii i dowiedział się, że musiano zmienić lokalizację spotkania z wdzięcznymi wyborcami, bo w Litwinku, gdzie pierwotnie miał zawitać premier, przeciwnicy władzy szykowali wielką manifestację i planowali zakłócić wystąpienie szefa rządu.

Ale Mamrot nie mógł spać spokojnie. Może chodziło o coś więcej?

A jak będzie chciał spojrzeć na rachunki?

Albo podpisane umowy?

Nie, na pewno ma ważniejsze rzeczy na głowie niż małe przekręty na drobne miliony. Otwierać też nie miał czego, bo od lat niczego w Grzeszynie nie budowano. A jak ktoś się dopatrzył i wyszło, że wójt za mało się stara, nie zabiega o inwestycje?

W końcu przyszła kryska na matyska?

Wywiozą go na taczkach jak nic!

Niby jego związki z partią rządzącą nie były zbyt silne, jednak w kluczowym momencie, kiedy policja zaczęła się interesować wypadkami, które przydarzyły się jego kontrkandydatom, udzielono mu wsparcia.

I w bonusie obiecano mu pomoc w wybudowaniu hali sportowej, bo to zawsze gwarantowało wygraną. Prace ruszyły, ale zaraz po wyborach stanęły i nie zanosilo się na to, że kiedyś zostaną dokończone.

– Boże, dopomóż – wyszeptał przerażony nie na żarty Mamrot, przeżegnał się i jeszcze raz poprawił kokardki na warkoczykach córki.

– Tato, wyrywasz mi włosy! – krzyknęła dziewczynka, ale ojciec już jej nie słuchał, bo z limuzyny wysiadł premier we własnej, wygarniturowanej osobie.

– Witamy! – wrzasnął wójt i popchnął krztuszącą się Luizę w stronę limuzyny. – Chlebem i solą! – dodał.

Kiedy czerwona na twarzy dziewczynka wręczyła kwiaty, delikatnie odsunął ją na bok, żeby przepuścić drugą córkę.

Premier uśmiechnął się promiennie, to znaczy uniósł kącik ust, co w jego przypadku należało uznać za promienny uśmiech.

Ucałowawszy chleb – ku ucieście wójta obyło się bez próby konsumpcji – udał się na sklecone naprędce podium.

Przynajmniej pogoda sprzyjała Mamrotowi. Świeciło słońce i ważny gość mógł spokojnie przemawiać ze zbitego z desek, nieco chybotliwego podestu, który stał przy najbardziej reprezentacyjnej ulicy miasta obok rynku.

– Drodzy rodacy, przyjaciele, grzeszynianie! Cieszę się, że możemy się tu spotkać w tak licznym gronie! – Spojrzał wymownie na wójta. Ten skurczył się w sobie. – Bardzo serdecznie dziękuję za gorące przyjęcie. Nie odwiedziłem państwa, żeby lukrować rzeczywistość, przyjechałem, żeby porozmawiać o państwa problemach i wspólnie wypracować plan, dzięki któremu uda się je rozwiązać. Musimy się zjednoczyć, bo wszyscy są przeciwko nam. I ci w Moskwie, i ci w Berlinie, ale przede wszystkim ci w Brukseli. Mili państwo, musicie pamiętać, że gdyby nie ja i ten wspaniały rząd, na czele którego mam zaszczyt stać, nie byłoby niczego. Na przykład tej drogi. – Wskazał na ulicę Podleśną i Mamrotowi zrobiło się słabo, bo wybudowali ją, jak chodził do przedszkola, a od tego czasu minęło kilka dekad. – Tego rynku... tych pięknych domów... tych oblepionych ogłoszeniami latarni... tego rozklekotanego autobusu... i tych gołębi też by nie było, a są, i to jest zasługa mojego rządu. Tak, mili państwo. Bo my spełniamy obietnice. Wszystkie, co do jednej. A nawet spełniamy obietnice, których nie złożyliśmy. Bo oni kradli, przez lata rozkradali polski majątek narodowy, a my jesteśmy dla ludzi. Dla Polaków. Dla grzeszynian! A oni? Oni naobiecywali, i co? To my daliśmy...

Premier wymienił wszystko, co łaskawie dał i co dać może w przyszłości, jak tylko mieszkańcy gminy pójną do urn wyborczych i postawią krzyżyk tam, gdzie trzeba.

Mamrot miał łzy w oczach. To całe długaśne wystąpienie premier wygłosił na jednym wdechu i ani razu nie mrugnął.

Profesjonalista w każdym calu.

Niedościgniony wzór dla tysięcy aspirujących polityków.

Wójt rozejrzał się po tłumie złożonym z kilkudziesięciu osób, które akurat nie miały weekendowych planów. Paru grzeszynian niemrawo klaskało, niektórzy gapili się w smartfony, syn Nowaków popłakiwał. Złośliwy smarkacz. Ma dopiero dwa lata, a już mu się wywrotowości zachciewa.

Niedobrze.

Trzeba natychmiast rozruszać towarzystwo i uniknąć kompromitacji!

– A teraz pora na pytania mieszkańców Grzeszyna! – krzyknął wójt, chociaż nikt z nim nie ustalał, że faktycznie będzie taka możliwość. Premier wyglądał na zdziwionego, ale Mamrot brnął dalej. – Może pan? – zwrócił się do niegroźnie wyglądającego staruszka, którego znalazł z widzenia.

– Dlaczego nie robicie... – zaczął mężczyzna, ale premier natychmiast mu przerwał.

– Dziękuję za to pytanie! To jest bardzo ważna kwestia. Obiecaliśmy wam halę sportową i hala w waszej gminie powstanie!

– Ale my mamy halę sportową – wtrącił staruszek i wskazał ręką w kierunku niedokończonej od lat budowy. – Dlaczego nie dajecie...

– Dziękuję za to pytanie! To jest bardzo ważna kwestia. Obiecaliśmy wam plac zabaw i plac zabaw powstanie!

– Ale my mamy plac zabaw – wtrącił ponownie starszy pan i wskazał ręką w lewo, gdzie na huśtawkach bujało się dwóch chłopców. – Kolejny nam niepotrzebny...

– Bo na terenie gminy dzieci praktycznie się nie rodzą. To pięćset plus to już na nic nie starcza! – krzyknęła jakaś kobieta. – Kiedy wreszcie...

– Dziękuję za to pytanie! To jest bardzo ważna kwestia. Żeby stworzyć miejsca pracy, wybudujemy w okolicy międzynarodowe lotnisko, elektrownię i port rzeczny! – wykrzyknął triumfalnie premier.

– Ale u nas nie ma rzeki! – odkrzyknął staruszek.

– Rzekę też wybudujemy! – odparł niezrażony premier. – Dziękuję za gorące przyjęcie i państwa wsparcie. Razem możemy wszystko! A teraz niestety muszę się udać na kolejne spotkanie... – zakończył i szybkim krokiem zszedł z podium.

Zanim Mamrot zdążył się przepchnąć przez ochroniarzy, szef rządu wsiadł do limuzyny i odjechał, zostawiając zdezorientowanego wójta w kłębach gryzących spalin.

Luksusowe auto z przyciemnianymi szybami minęło się z kolorowym busem. Z pamiętającego lepsze czasy samochodu wylała się na ulicę grupa protestujących.

– Spóźniliśmy się? – zapytał jeden z mężczyzn, trzymający w rękach zwinięty transparent.

Wójt odetchnął z ulgą.

Może i spotkanie nie poszło najlepiej, ale przynajmniej element wywrotowy nie dojechał na czas.

– To pociśmy ten poczęstunek szykowali, szefie? – zapytał Jadziak. – Przybył i wybył, a tyle żarcia zebraliśmy, stoły aż się uginają...

Od wczesnego rana trwała gorączkowa zbiórka jedzenia.

Pod groźbą kary administracyjnej każdy pracownik urzędu miał przykazane przynieść całe weekendowe zapasy. Na szczęście na sobotni grill urzędnicy wykupili pół marketu, na czele z wójtem, który na własnych plecach przytargał kilogramy jedzenia.

To znaczy Jadziak przytargał, ale Mamrot go nadzorował.

– Sami zjemy, Piotrek – powiedział wójt. – Nie zmarnuje się ani okruszek.

Pół godziny później przy stołach ustawionych w największej sali Gminnego Ośrodka Kultury siedzieli wszyscy razem – zwolennicy i przeciwnicy, ci z lewicy i ci z prawicy, połączeni kaszanką z grilla i piwem z beczki.

Uczta trwała w najlepszym, podchmielony wójt próbował to tego, to tamtego i cały czas się pilnował, żeby nie gapić się na Mariolkę. W tym stroju ludowym prezentowała się naprawdę smakowicie i na samą myśl, co z nią zrobi w domku myśliwskim, robiło mu się gorąco. Musiał jednak zachować pozory ze względu na wyborców i żonę, której po prawdzie wcale sobie nie wychował i od której nie raz dostał po gębie.

Przy miłym towarzystwie czas płynął szybko, więc zanim się biesiadnicy zorientowali, nastał wieczór.

Wójt wyszedł na chwilę z sali, żeby zapalić.

Stanął pod drzewkiem i wyciągnął paczkę papierosów.

Zanim włożył jednego do ust, poczuł ukłucie w okolicach karku.

Przeklęte komary, zdążył pomyśleć, nim nogi się pod nim ugięły i zapadł się w ciemność.

3

Prośby i groźby

„GŁOS GRZESZYNA”

Wójt Mamrot uznany za zmarłego!

Czekają nas przedterminowe wybory!

To koniec dramatu związanego z uprowadzeniem Henryka Mamrota – przykładnego męża, kochającego ojca i uczciwego podatnika, który przepadł bez śladu zaledwie kilka godzin po wizycie premiera na rynku w Grzeszynie.

Jak udało nam się ustalić, Prezes Rady Ministrów raczej nie miał nic wspólnego z porwaniem wójta, a na pytanie dziennikarzy, co sądzi o sprawie Mamrota, odparł: „Kogo? Nie znam”.

Przypomnijmy naszym wiernym czytelnikom, że niezidentyfikowani do tej pory sprawcy porwali wójta sprzed Gminnego Ośrodka Kultury przy ulicy Podleskiej, gdzie odbywał się okolicznościowy bankiet na cześć premiera. Podczas uroczystości spożywano znaczne ilości alkoholu, dlatego żony włodarza, Zofii Anny Mamrot, z domu Widauskiej (l. 38), nie zaniepokoiło nagłe zniknięcie męża.

– Zapijał już wcześniej, ale prędzej czy później wracał na łono rodziny – zdradziła naszemu reporterowi.

Dopiero dwudniowa nieobecność małżonka skłoniła ją do zawiadomienia policji.

Mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań nie udało się odnaleźć Henryka Mamrota. Pod nadzorem policjantów mieszkańcy przez kilka dni przeczesywali okoliczne lasy, ale bezskutecznie.

Nie pomogły ani drony, ani sprowadzone z Niemiec psy tropiące.

Kiedy zaczęły się mnożyć teorie na temat powodów zniknięcia wójta, Zofia Mamrot otrzymała list od porywaczy. Domagali się w nim trzech milionów złotych za uwolnienie uprowadzonego. Jednocześnie zapewnili, że przetrzymywany przez nich mężczyzna ma się dobrze, dostaje bogate w witaminy i składniki mineralne posiłki oraz że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo, o ile spełnione zostaną ich niewygórowane żądania w terminie nie dłuższym niż pięć dni roboczych.

Na niezwłocznie zwołanej konferencji prasowej zapłakana żona Mamrota łamiącym się głosem odczytała wiadomość od porywaczy i poprosiła o pomoc:

– Mój mąż jest wspaniałym człowiekiem. Bardzo kocha nasze córeczki i od wielu lat poświęca się pracy na rzecz gminy Grzeszyn. Sumiennie wykonuje swoje obowiązki, a dobro mieszkańców jest dla niego najważniejsze. Dlatego dzisiaj błagam państwa o wsparcie. Takie samo, na jakie zawsze mogliście liczyć ze strony mojego szczodrego męża. Nie jestem w stanie zbierać żądanej kwoty. Jeżeli do końca tygodnia nie przekąże porywaczom trzech milionów złotych, mój mąż zginie. Liczy się każdy grosz. Pieniądze można wpłacać na specjalny numer konta albo za pośrednictwem zbiórki internetowej.

Po chwytającym za serce apelu na rzecz uwolnienia wójta wpłacono dwadzieścia trzy tysiące osiemset złotych. Razem z pięćdziesięcioma tysiącami zgromadzonymi przez Zofię Mamrot było to wciąż zdecydowanie za mało, by ocalić życie porwanego.

Dwa dni po terminie wyznaczonym przez porywaczy rozpaczona żona otrzymała kolejny list. Tym razem dołączono

do niego paczuszkę z serdecznym palcem Henryka Mamrota, co potwierdziły badania DNA, oraz zdjęciem, na którym wyglądał na martwego.

– Napisali, że nigdy nie znajdę ciała męża. Że to kara za to, że nie zdobyłam pieniędzy – tkła przed kamerą świeżo upieczona wdowa.

Gromy posypały się na miejscową policję, ale komendant Jędrzejewski ograniczył się do stwierdzenia, że całe śledztwo zostało przeprowadzone wzorowo i jeżeli kogoś chcemy winić, to powinniśmy winić „cholernych porywaczy”.

Sprawa została zamknięta, a za dwa tygodnie odbędzie się symboliczny pogrzeb Henryka Mamrota na cmentarzu w Wielkiej Lipie.

Kto uprowadził wójta?

Dlaczego mężczyzna musiał zginąć?

Czy zrobiono wszystko, by odnaleźć go całego i zdrowego?

I jaka przyszłość czeka teraz Grzeszyn? Oto pytania, które zadają sobie wszyscy mieszkańcy gminy.

Do wczoraj obowiązki wójta sprawował jego dotychczasowy zastępca Piotr Jadziak (l. 29), ale po uznaniu Henryka Mamrota za zmarłego jego mandat został wygaszony przez komisarza wyborczego, a to automatycznie oznacza odwołanie zastępcy.

Od momentu uprawomocnienia się postanowienia stwierdzającego wygaśnięcie mandatu do czasu objęcia obowiązków przez nowego włodarza jego funkcję pełnić będzie osoba wyznaczona przez premiera na wniosek wojewody.

Wybory przedterminowe odbędą się w ciągu ustawowych trzech miesięcy.

Kto zajmie miejsce Henryka Mamrota?

– Jednego malwersanta mniej – stwierdziła strzaskana na heban Małgorzata Foryś.

Mimo pięćdziesiątki na karku mogła pochwalić się nie tylko figurą supermodelki, lecz także idealnie gładką skórą, której pielęgnacja kosztowała ją majątek. Naturalne blond włosy nosiła zazwyczaj rozpuszczone, a długie paznokcie malowała wyłącznie na wściekle czerwony kolor.

Właśnie skończyła się opalać na dachu hotelu i usiadła na chwilę przy stoliku ustawionym przy strumyczku przepływającym przez jej posesję, by przeczytać lokalną gazetę.

Po artykule o Mamrocie straciła jednak ochotę na dalszą lekturę, więc złożyła egzemplarz „Głosu Grzeszyna” na pół i odłożyła go na bok.

Nie interesowało jej, kto zostanie nowym wójtem, a i Henryka Mamrota znała słabo, tyle co „dzień dobry” czy „do widzenia”, więc wiadomość o uznaniu go za zmarłego nie zrobiła na niej większego wrażenia. Ze swoich źródeł wiedziała to i owo na temat jego niechlubnej przeszłości, no ale który mieszkaniec tej gminy nie miał tego czy tamtego na sumieniu?

Kto jak kto, ale ona na pewno nie była święta.

Minęło już pół roku. Sześć długich miesięcy od czasu, kiedy musiała opuścić Warszawę i udać się na wygnanie.

Tak, sama sobie była winna. Mogła umiejętniej pozbyć się zwłok męża, a tak niespodziewanie wypłynęły – dosłownie i w przenośni – i narobiły jej kłopotów. Nie żeby zabiła, co to to nie, ale ciała się pozbyła. Po latach z małżonka nie zostało zbyt wiele, ale i tak udało się go zidentyfikować.

Cholerny postęp w nauce!

Jeszcze kilkanaście lat temu wszystko uszłoby jej płazem, a tak... musiała podkulić ogon i uciekać.

Powinna iść za kratki, zdawała sobie z tego sprawę. Na szczęście przez lata zgromadziła imponującą liczbę haków na wpływowych ludzi. Pociągnęła za kilka sznurków i udało jej się uniknąć odsiadki, ale cóż z tego?

W Warszawie była skończona.

W policji też.

Jej plany legły w gruzach.

Pozostało jej tylko jedno wyjście – wykopać worki z pieniędzmi, które poukrywała po lasach na czarną godzinę, i udać się do miejsca, gdzie tacy jak ona dostawali od losu drugą szansę.

W ten sposób Małgorzata Foryś trafiła do gminy Grzeszyn, a konkretnie do urokliwej, położonej nad strumyczkiem Wielkiej Lipy.

Na szczęście po kolejnym sukcesie, jakim było złapanie seryjnego mordercy, który grasował po ulicach stolicy, jej jedyne dziecko i największa chluba – syn Klemens – wyładował w Interpolu i robił międzynarodową karierę. Wpadka matki w żaden sposób go nie dotknęła i nawet dał sobie wmówić, że rodzicielka z własnej woli przeniosła się na drugi koniec Polski, by wreszcie odetchnąć pełną piersią, zwolnić tempo życia i cieszyć się zasłużoną emeryturą.

Foryś o nowy start martwić się nie musiała, bo gotówki miała pod dostatkiem, ale zasadniczą kwestią było jej wypranie.

W tym celu zakupiła podupadający hotel Sasanka wraz z przylegającą do niego restauracją Wykwintną.

Biznes przynosił niesamowite zyski.

Wręcz nie do uwierzenia, chyba że wiedziało się, komu posmarować w urzędzie takim i owakim, a przedsiębiorcza ekspolicjantka doskonale to wiedziała.

Tak naprawdę przez ostatnie pół roku w hotelu nie zatrzymał się ani jeden gość. Nic dziwnego: ceny były jak z kosmosu, by odstraszyć potencjalnych turystów.

Czteropiętrową Sasankę zbudowano na planie przypominającym nieco skrzywioną literę „U”. Styl można by określić mianem rustykalnego, gdyby ktoś akurat był w dobrym nastroju i nie chciał robić właścicielce przykrości.

Jedno skrzydło budynku zaczęło się trochę walić, ale Foryś wcale się tym nie przejmowała. Drugie zostało nieco odnowione przez poprzedniego właściciela – biznesmena z Wrocławia, który z nudów postanowił zainwestować w turystykę, ale przecenił swoje możliwości finansowe i po pół roku zbankrutował. Zdążył wyremontować lobby i recepcję, odmalować dwa piętra zachodniego skrzydła, wyposażyć łazienki i wstawić do pokoiów niedrogie, ale funkcjonalne meble. Potem skończyły mu się pieniądze.

Sasanka poszła pod młotek, ale przez wiele miesięcy nie znalazł się na nią żaden chętny. Obniżono więc cenę, później kolejny raz i kiedy już chciano oddać budynek za pół darmo, zjawiała się Foryś z workami pełnymi brudnych pieniędzy.

Na początku w hotelu mieszkała tylko z przywiezionym z Warszawy kucharzem, ale od trzech miesięcy w zachodnim skrzydle mieszkało szesnaście kelnerek z Ukrainy wraz z licznym potomstwem.

Było to o tyle zastanawiające, że w Wykwintnej stały tylko cztery stoliki, a kucharz nie gotował niczego poza rosółem z kostki rosolowej, który zresztą niezbyt dobrze mu wychodził. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo restauracji i tak nikt nie odwiedzał.

Panie spędzały całe dnie na wypoczynku, opiece nad dziećmi i nauce języka polskiego. Nie zadawały też zbędnych pytań i wcale nie dziwiło ich, że na rękę dostają połowę tego, co zapisano w ich umowach, bo de facto w ogóle nie pracowały, a wypłacana im co miesiąc kwota i tak była astronomiczna.

Dwie udające kelnerki Ukrainki okazały się najprawdziwszymi kucharkami, więc dla zabicia czasu zaczęły gotować dla pozostałych mieszkańców Sasanki.

Produktów nie brakowało.

By nie wzbudzać podejrzeń, Foryś składała ogromne zamówienia u lokalnych producentów, ale odbierała tylko tyle, ile faktycznie potrzebowała. Wystawiano jej faktury na tony jedzenia, a właścicielka Sasanki płaciła uczciwy procent. Reszta produktów po cichu wracała do obrotu, więc i rolnik zarabiał podwójnie, i przedsiębiorcza bizneswoman była zadowolona, że w papierach wszystko się zgadzało.

– Pomagam, jak mogę – tłumaczyła Foryś plotkarom z Wielkiej Lipy, które dziwiły się, po co jej tyle kelnerek. – One uciekły przed bombami z jedną reklamówką i dziećmi na rękę, więc z dobroci serca dałam im pracę i kąpiel do spania.

Dobre serce dobrym sercem, ale pieniądze same się nie wypiorą.

Małgorzata poprawiała blond włosy i przeciągle ziewnęła, bo sielska polska wieś to jednak nie to samo, co metropolia, do której przywykła.

Marzyła o nowych wyzwaniach, ale żadne do tej pory nie pojawiły się na horyzoncie.

Gdyby nie kochanek – młodszy od niej o trzydzieści lat artysta malarz – naprawdę nie miałaby za bardzo co tu robić. A tak czasami pozowała mu do wysmakowanego aktu i czas jakoś leciał. Niezwykle płodny Emil Światłoń wysmarował do tej pory czternaście obrazów z nagą Foryś i za jeden z nich – *Gosiaczek w kąpielni* – zdobył nawet nagrodę na konkursie malarstwa erotycznego w Amsterdamie.

Emil dostarczał jej rozrywki i doznań nie tylko artystycznych, ale energicznej kobiecie brakowało ciągłego napięcia związanego z pracą policjantki oraz odgłosów zasypiającej i budzącej się do życia Warszawy.

Tu mogła słuchać tylko śpiewu ptaków.

– Tirlitirli-tirlitirli. – Jak na zawołanie zaintonował pie rzasty śpiewak na pobliskim drzewie, wkładając w swój występ całą duszę.

– Och, zamknij się – odpowiedziała mu znana miłośniczka przyrody Małgorzata Foryś i odwróciła się w stronę zamku.

Po sekundzie zmarszczyła nos. W jej kierunku zmierzał jedyny wróg, jakiego udało jej się zyskać przez ostatnie pół roku.

Małgorzata chciała uciekać, ale było za późno.

Ponadprzeciętnie wysoki i przeraźliwie chudy mężczyzna miał zapadnięte policzki i ziemistą cerę, ale zaskakująco gęste i lśniące kasztanowe włosy. Na nosie nosił okulary w rogowej oprawce, które dodawały mu lat.

Ciechosław Chrząstowski herbu Ślepowron, pan na pobliskim zamku, ubrany, jakby właśnie zszedł z planu serialu *Downton Abbey*, uniósł dłoń i pomachał.

– Ju-hu! Witam kochaną sąsiadkę! Całuję rączki! – krzyknął, zauważywszy, że właścicielka hotelu Sasanka udaje, że go nie widzi, i próbuje schować się pod stolikiem.

– O, pan dziedzic – odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem Foryś. – Cóż to pana sprowadza w moje skromne progi? – Wyraźnie zaakcentowała słowo „moje”.

– Na razie pani progi, nie przeczę, ale kto wie, kto wie... – odparł Chrzastowski i przeszedł od razu do rzeczy: – Chciałbym ponowić propozycję...

– Nie sprzedam.

Arystokrata wyraźnie się obruszył. Nie był przyzwyczajony, że mu się przerywa.

– Nie wysłuchała pani jeszcze najnowszej oferty. Jest więcej niż szczodra i...

– Już panu mówiłam, że hotel, restauracja i ten mały kawałek lasu nie są na sprzedaż.

Nadal nie wiedziała, dlaczego tak bardzo zależało mu na nabyciu ziemi, na której stała Sasanka. W grzeszyńskiej bibliotece dowiedziała się, że kiedyś ten teren leżał w obrębie majątku Chrzastowskich, ale prapradziadek Ciechosława przegrał go w karty. Dziedzica przez dekady ta ziemia nie interesowała, ale po tym, jak kupiła ją Foryś, nagle uparł się, żeby mu ją odsprzedała. Trochę drzew, strumyczek i dwa walące się budynki – czy były warte tyle zachodu?

– Ale ja tak ładnie proszę. Dlaczego pani nie pójdzie mi na rękę?! Przecież nie ma pani żadnych gości!

– Moi goście to moja sprawa, tak samo jak ich brak.

– To może ja wykonam kilka telefonów, jakieś kontrole i...

Zanim dokończył, Foryś do niego doskoczyła i złapała go za klapy tweedowej marynarki.

– Co też pani?! – zaprotestował dziedzic.

– Nie masz pojęcia, z kim zadzierasza, sztywniaku – wyszczała mu do ucha. – A teraz wynoś się z mojej ziemi!

– Zapłaci mi pani za to! – wrzasnął Chrząstowski i strzepnął z marynarki niewidzialny pyłek. – Bóg mi świadkiem, że chciałem po dobroci! Nie pozostawia mi pani wyboru. Wystartuję w wyborach na wójta, wygram, a wtedy porozmawiamy inaczej! Tak pani uprzykrzę życie, że będzie mnie pani błagała na kolanach, żebym odkupił od pani ziemię za symboliczną złotówkę! – dodał na odchodne i udał się w drogę powrotną do zamku.

Małgorzata Foryś patrzyła za nim, mrużąc oczy.

Tego nie przewidziała.

Jeżeli dziedzic wygra wybory, zyska władzę i może znaleźć sposób, by wykurzyć ją z Sasanki, a ona nie miała najmniejszej ochoty znowu pakować walizek i zaczynać wszystkiego od zera.

– Trzeba będzie wystawić własnego kandydata – stwierdziła z przekonaniem. – Tylko kogo? – zamyśliła się.

Dwadzieścia sekund później odpowiedź stanęła jej przed oczami.

– No jesteś – powiedziała do kucharza, który wyłonił się z Wykwintnej. – Zwarty, gotowy, niekarany obywatel polski, który dawno skończył dwadzieścia pięć lat i jest wpisany do stałego rejestru wyborców w gminie Grzeszyn.

– Ale o co chodzi? – zapytał podejrzliwie mężczyzna w fartuchu i białej czapce.

– Wystartujesz w wyborach na wójta!